

ROZDZIAŁ II

DZIWNÓW - piekło i raj komandosów

O tym, jak dzięki opanowaniu kaligrafii podporucznik Arkadiusz Kups trafił do kolebki działań specjalnych – 1 Batalionu Szturmowego w Dziwnowie. Tam weźmiemy udział w hucznym powitaniu z nowymi kolegami zakończonym masakrą koni i szoszonów, poznamy także zdziczałe obyczaje mieszkańców hotelu Bałtyk. Dowiemy się o katorżniczej, acz pełnej fantazji służbie w kompanii kapitana Ponga, o morderczym treningu i bezgranicznym oddaniu robocie. Będzie też o zajazdach na pola ryżowe rydwanami i sikaniu z okna. Wraz z podporucznikiem Kupsem przeżyjemy także tragiczne wydarzenie, w którym niepoślednią rolę odegrał „wiatr korpulencyjny”.

Minęły praktyki, kończyła się szkoła i po prawie już oficerów przyjechali „kupcy”. Podchorąży Kups, nie znając jeszcze sytuacji panującej wówczas w Bolesławcu, wchodził na rozmowę z przekonaniem, że kwit wzywający go do służby w 62 KS już leży na biurku, za którym siedzieli kadrowcy rozdzielający przydziały do jednostek. Nie leżał. Zatem jeśli nie do Bolesławca, to dokąd? Nawet nie dopuszczał do siebie myśli o wyładowaniu na wojskowym zadupiu w jakimś drugoligowym pułku zmechanizowanym.

Zgodnie z jego ówczesną wiedzą i wyobraźnią w grę wchodził jeszcze tylko Dziwnów. Służba w 1 Batalionie Szturmowym była dążeniem najambitniejszych absolwentów Zmechu, ale szansą tylko dla nielicznych. Dla przypadkowych ochotników, bez wsparcia i koneksji, wręcz marzeniem ściętej głowy.

A jednak marzenia czasem się spełniają! Przewodniczący komisji kwalifikacyjnej zapytał w pewnym momencie, czy któryś z czekających na „wyrok” podchorążych ładnie pisze? Arek, jako że w szkole średniej opanował sztukę posługiwania się piśmem technicznym, zgłosił się bez wahania. Kaligrafował przez parę godzin i nagle szok: „W nagrodę za współpracę pozwolono mi wybrać jednostkę! Było to cenne pouczenie na przyszłość, że w armii o ludzkich losach często decyduje absurdalny przypadek”.

Tak więc pewnego wrześnieowego wieczora 1984 roku na słabo oświetlonej ulicy nadmorskiego kurortu z ostatniego w tym dniu autobusu wysiadł wraz z gromadką pasażerów podporucznik Arkadiusz Kups. Gdy ludzie rozeszli się każdy w swoją stronę, został na przystanku sam. Stał tak z wielką walizą, nazywaną powszechnie portfelem zupaka, nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. Targały nim sprzeczne emocje...

Pierwszą noc spędził u Leszka Relugi, przyjaciela ze szkoły oficerskiej, którego ojciec, pan Stefan, był najstarszym żołnierzem batalionu. Jak większość starej kadry, przeniesiony tu z krakowskiej 6 Dywizji Desantowo-Spadochronowej, uczestniczył w tworzeniu jednostki. Pogodny i nad wyraz życzliwy chorąży Reluga przez pół nocy

barwnie i ze swadą opowiadał o życiu i panujących w batalionie obyczajach, co ogromnie uspokoiło Arka i dodało mu tak bardzo wówczas potrzebnej pewności siebie.

Rankiem wyskoczyli z Lechem do baru turystycznego na rybkę. Kończyli dobrze wysmażonego mintaja, gdy z impetem otworzyły się drzwi. W ich kierunku, potrącając krzesła, szedł oficer w polowym mundurze. Każda z samodzielnych jednostek specjalnych kultywowała wówczas własny, specyficzny sposób noszenia nakrycia głowy: „na koguta”, „na czuba”... Tylko w Dziwnowie nosiło się dopasowany mundur typu US (ubiór specjalny) z nieregulaminowo podwiniętymi rękawami, czerwony beret „na pirata” (zakrywający ucho), za pasem nunchaku i kajdanki, a przy nodze nóż. Gość, podszedłszy, wyciągnął rękę i przedstawił się krótko: „Rysio, porucznik. Czekałem na was, kotki, jutro w pracy”.

Życie w środowisku dziwnowskim odbiegało od wszystkiego, czego do tej pory Arkadiusz Kups doświadczył i co widział na najlepszych nawet filmach. Zaczęli obaj, z Leszkiem Relugą, od bardzo efektownego startu. Uświęconym tradycją zwyczajem postanowili wkupić się do towarzystwa. Niemrawy z początku bankiet, w miarę opróżnianych butelek, na etapie „Jak ja byłem...” nabrał rumieńców, a w fazie „Jak ja będę ...” rozkręcił na dobre. Bawili się świetnie.

Około trzeciej nad ranem ktoś na fali entuzjazmu rzucił hasło: „Do Kolczyka”. Wesoła gromada ruszyła w stronę najbardziej wykwintnego lokalu w garnizonie. Nie było radości na ich widok, tym bardziej że w osiągniętym stanie wrzenia do złudzenia przypominali Kmicicowych kompanionów. Gdy na kolejne zamówienie Leszka barman z ironicznym uśmiechem syknął: „Tu już nic więcej nie dostaniecie, nawet herbaty”, gości zamurowało, zaś znieważony podporucznik chwycił, w naturalnym odruchu, za pierwszy przedmiot, jaki nawinął mu się pod rękę. Pech chciał, że było to wysokie krzesło barowe przyśrubowane do podłogi. Czerwony z wysiłku, ochłonął szybko i gotów był się poddać. Skończyłoby się na niczym, gdyby mądrała zza baru nie pozwoliła sobie na szyderstwo: „Co, komandosik osłabł?”. Wtedy Leszek tylko jęknął z napięcia, śruby puściły i niklowany mebel, przeleciawszy łukiem nad głową przerażonego sprawcy zamieszania, wylądował na półkach z alkoholem. W tej samej chwili kilka par rąk przeciągnęło barmana przez kontuar. Temu zaś ruszyła z odsieczą zgraja koni i szoszonów. Końmi, z racji stukotu wywoływanego podkutymi butami, komandosi nazywali stacjonujących w Dziwnowie marynarzy, zaś szoszonami, ponoć na cześć najgłupszego plemienia indiańskiego, żołnierzy z pobliskiej jednostki wojsk lądowych. Obie te nacje miały wspólnego wroga – właśnie komandosów – i pech chciał, że ich przedstawiciele znaleźli się tam jakby na zawołanie. Zadymiło się więc okrutnie... Jak to często w takich sytuacjach bywa, jakiś kretyń złamał konwencję towarzyskiego wydarzenia, wzywając patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Po interwencji WSW, odpowiednika dzisiejszej Żandarmerii Wojskowej, sytuacja nie wyglądała najlepiej. Za czasów ministra obrony Wojciecha Jaruzelskiego takie naruszenie porządku przybierało rozmiar wielkiej afery. Wojownicy spodziewali się ponieść daleko idące konsekwencje, gdy niespodziewanie poręczył za nich Wujek Janek.

Podpułkownik Jan Łabuszewski¹⁴ przeszedł w batalionie wszystkie szczeble, od dowódcy grupy do zastępcy dowódcy jednostki, był znakomitym fachowcem i wielkim autorytetem. Wychowawca wielu pokoleń wojskowej młodzieży uznał, że troska o honor jest niezbywalnym prawem oficera, a tak drobny epizod jak wyrwanie z korzeniami barowego stołka i rzucenie nim w przeszkloną półkę z wodą można zatrzeć nienaganną służbę. Podporucznicy wrzuceni w wir szkolenia młodego rocznika niemal natychmiast rozpoczęli tę nienaganną służbę ze świadomością, że znaleźli się w miejscu niezwykłym pod każdym względem.

* * *

1 Samodzielny Batalion Szturmowy, będący w tym czasie najbardziej elitarną jednostką w Wojsku Polskim, sformowano w listopadzie 1961 roku w Krakowie na bazie 6 Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej jako 26 Batalion Dywersyjno-Rozpoznawczy. W 1964 roku, już pod nową nazwą, został przeniesiony do Dziwnowa, na wyspę Wolin, w tamtych czasach najbardziej niedostępny i wysunięty na zachód zakątek kraju. Jednostka, rzeczywiście samodzielna, w czasie pokoju, za pośrednictwem Zarządu II Sztabu Generalnego, podporządkowana ministrowi obrony narodowej, w sytuacji wojennej była przeznaczona do wykonywania zadań na korzyść rozwiniętego frontu. W warunkach wojennych jej grupy specjalne, liczące od sześciu do dziewięciu żołnierzy, po przetrzucie miały działać ponad 300 kilometrów za linią wojsk przeciwnika.

Batalion, ukryty w poniemieckich koszarach, tuż za zwodzonym mostem, miał doskonałe warunki do szkolenia. W kompleksie znajdowała się wykonana w drewnie zabytkowa hala sportowa, strzelnica pistoletowa, spadochroniarnia oraz minipoligon, sugestywnie nazywany pentagonem, przystosowany do ćwiczenia walki w terenie zurbanizowanym. Przepływająca tuż obok rzeka Dziwna stanowiła znakomite miejsce do szkolenia płetwonurków, podobnie jak odległe o dwa kilometry od obiektów, doskonale przejrzyste Jezioro Martwe. Do trzyosiowej strzelnicy, przeznaczonej do strzelania z broni długiej, prostą drogą było cztery kilometry. Często jednak wybierano wariant prowadzący przez słynne „pola ryżowe”, gdzie żołnierze, brnąc przez trzcinowiska, szlifowali przy okazji zachowania taktyczne.

W skład batalionu wchodził sztab, dwie kompanie szturmowe liczące po dwa plutony, po jednej kompanii płetwonurków i łączności oraz plutony gospodarczo-reмонтowy i zaopatrzenia, a także kompania szkolna, przygotowująca podoficerów dla jednostek specjalnych w całym wojsku.

Jego słaby punkt, według Kupsa, stanowił akademicki etat dowódczy. Oficerowie z dyplomami Akademii Sztabu Generalnego obejmowali na trzy–cztery lata dowodzenie, zaliczając w ten sposób staż umożliwiający im karierę na wyższych szczeblach.

¹⁴ Pułkownik Jan Łabuszewski, zwany Wujkiem Jankiem, wychowawca wielu żołnierskich pokoleń. Służbę w 1 Batalionie Szturmowym rozpoczął jako dowódca grupy specjalnej, przeszedł wszystkie stanowiska dowódcze, przez piętnaście lat był zastępcą dowódcy jednostki.

W takiej sytuacji zasady gry dyktował względnie trwały pierwszy garnitur sztabowy, którego fundament stanowili wówczas szef szkolenia, wspomniany już podpułkownik Jan Łabuszewski oraz szef sztabu podpułkownik Witold Brzozowski¹⁵, oficer poukładany, inteligentny, a wręcz – rzecz można – genialny.

Arkadiusz Kups przyszedł do Dziwnowa za czasów Kusego, jak zwano majora (a wkrótce podpułkownika) Stanisława Osieckiego, który był oczywiście także „dyplomowany”. Trzeba przed nim schylić czoło, bo dopiero na tak zaawansowanym etapie kariery zaczął skakać ze spadochronem. W dodatku bardzo szybko na wolne otwarcie, co stanowiło wyższą szkołę jazdy i przysporzyło mu uznania wśród żołnierzy. Niemniej był człowiekiem z innej bajki. Nie było już niestety pułkownika Zenona Pietkiewicza, dowódcy, po którym została wspaniała legenda. To niewiarygodne, ale przez pięć lat, do 1983 roku, dowodził batalionem, mimo że nie wykonywał skoków spadochronowych! I w niczym nie umniejszało to charyzmy tego wspaniałego żołnierza. Ponoć jego siłą był brak nadmiernego parcia na karierę.

Niezależnie od tego, kto stał na czele jednostki, oczko w głowie jej dowództwa stanowiła gotowość bojowa i temu właśnie wszystko było podporządkowane. Grupy awangardowe w ciągu dwóch godzin od otrzymania sygnału musiały znaleźć się na lotnisku w nieodległym Golczewie gotowe do przerzutu w rejon działań. Był to akcent wojennego realizmu, dodatkowo wpływający na klimat służby. W efekcie każda inspekcja zaczynała się od skontrolowania gotowości bojowej. Ćwiczebne alarmy, sprawdzanie tras kurierów i gońców, osiągnięcie rejonów rozwijania czy zapasowych – cały ten harmider nieustannie się powtarzał.

Elitarna jednostka, mimo że formalnie była tajna, nie działała w odosobnieniu. Samotność nie służyłaby rozwojowi, więc batalion współpracował z Centralną Grupą Antyterrorystyczną Milicji, kierowaną przez legendarnego pułkownika Edwarda Misztala¹⁶, oraz brała udział w szkoleniach i ćwiczeniach z jednostkami specjalnymi Układu Warszawskiego. Z radzieckimi sojusznikami komandosi wykonywali niezwykle jak na tamten czas skoki z wysokości 150 metrów, z północnokoreańskimi instruktorami szkolili się natomiast w systemie walki bezpośredniej kyoksul. W sumie jednak batalion był bliższy 6 Brygadzie Powietrznodesantowej niż formacjom specjalnym. Wynikało to z jego struktury, ale też – zdaniem majora Kupsa – z przywiązania do regulaminów i dość „ogólnowojskowego” spojrzenia na szkolenie.

* * *

W cywilnej części Dziwnowa znajdowało się wiele wyjątkowo urokliwych kurortów, lecz komandosi nieczęsto mieli okazję do czerpania radości z tego faktu. Lato spęd-

¹⁵ Podpułkownik doktor Witold Brzozowski w trakcie służby ukończył studia w zakresie historii, zarządzania i psychologii. W 1993 roku założył w Dziwnowie liceum ekologiczne, kieruje zespołem szkół społecznych, jest dyrektorem Stowarzyszenia na rzecz Kultury i Edukacji. Organizuje również coroczne Festyny Komandosa w Dziwnowie.

¹⁶ Pułkownik Edward Misztal, prekursor polskiego antyterrorizmu, w 1976 roku utworzył jednostkę antyterrorystyczną utajnioną pod nazwą Wydział Zabezpieczenia.

dzali na poligonach, przeważnie na Jaworzu¹⁷ lub w Wędrzynie¹⁸, pojawiając się w garnizonie jedynie w czasie wykonywania skoków spadochronowych do morza. Szczególnie dla żołnierzy żonatych i dzieciatych był to ciężki okres. W tamtej epoce mało kto był zmotoryzowany, więc wypadki do domu, nawet z nieodległego poligonu drawskiego, były komunikacyjnie skomplikowane, a przez to sporadyczne.

Po krótkim sezonie turystycznym w kurorcie panowała pustka i wiało nudą, lecz w zajęciach szkoleniowych nie było martwego sezonu. Major Kups ujmuje to prosto: „W Dziwnowie funkcjonowały wówczas obok siebie dwa światy, pozornie od siebie odległe, ale w pewnych obszarach przenikające się nawzajem: można było pić wódkę i prowadzić hulaszczę życie lub oddać się fanatyzmowi szkolenia. Dla większości młodych oficerów, będących dopiero na dorobku, wybór był oczywisty. Nikt nam nie stwarzał warunków do nauki, nie organizował dodatkowych zajęć. Mieliśmy umieć to, czego od nas oczekiwano, a sposób dojścia do wiedzy, zdobycia umiejętności i wysokiej formy fizycznej był sprawą żołnierza”.

Czas służbowy wykorzystywali wówczas na wszelkiego rodzaju szkolenia wyrównawcze i doskonalące, między innymi ćwiczenie sztuki perfekcyjnego nadawania i odbioru sygnałów radiowych. W działaniach specjalnych obowiązywała cyfrówka, czyli nadawanie cyfrowych meldunków alfabetem Morse’a, które następnie należało rozkodować. Szybkość i skuteczność wymiany korespondencji stanowiły tu kluczowy element.

Większość popołudniowych godzin, jak wspomina Arek, spędzali zaś na hali sportowej: „Nasz kolega Zenek Rzepliński, pseudonim Kowadełko, był fizrukiem, czyli szefem od wychowania fizycznego, co ogromnie ułatwiało okupowanie obiektu. Codziennie więc graliśmy tam w piłkę, ćwiczyliśmy walkę na macie czy też katowaliśmy się na siłowni.

Gdy po kilku miesiącach służby dostałem mieszkanie w mieście, tuż przy parku, nadal nie przepuszczałem żadnej okazji inwestowania w rozwój fizyczny. Z mieszkającym po sąsiedzku Jurkiem Roczniakiem wyprowadziliśmy z jednostki drążek, przybiliśmy do drzew w parku i gdy dzieci grzecznie spały w wózeczkach, my ćwiczyliśmy wymyki, wejścia siłowe, wejścia oficerskie, kołowroty i podciągnięcia¹⁹”.

Siłownia i hala sportowa zawsze były pełne ludzi, nieustanny ruch panował również na macie. Niemalże nie stygł podstawowy sprzęt treningowy znajdujący się w pododdziałach, bez względu na pogodę wykorzystywano też drążki i poręcze zamontowane na świeżym powietrzu, nie wspominając już o bieganiu, podstawie budowania wydolności. Na bieżni otaczającej plac apelowy znajdujący się między koszarowcami trzech dziwnowskich jednostek niemal nieustannie jacyś żołnierze zaliczali okrąże-

¹⁷ Jaworze – ośrodek szkolenia pododdziałów rozpoznawczych i specjalnych położony na południu Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych – Drawsko. W okresie stanu wojennego miejsce internowania opozycji solidarnościowej.

¹⁸ Wędrzyn – Ośrodek Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych – Wędrzyn w lubuskim. Istnieje tam od lat siedemdziesiątych jeden z największych zurbanizowanych ośrodków szkoleniowych.

¹⁹ Wymyki, wejścia siłowe, wejścia oficerskie, kołowroty i podciągnięcia – ćwiczenia siłowo-sprawnościowe wykonywane na drążku.

nia. Działania konwencjonalne urozmaicano ponadto atrakcjami specyficznymi dla desantu, między innymi wchodzeniem na najwyższe piętra budynków z użyciem lin czy taśm desantowych. Czasem poleciała przy tym szyba i robił się mały huk, ale wszystko szybko wracało do normy i fantazja szkoleniowa objawiała się ze zdwojoną energią. Zarówno żołnierzy służby zasadniczej, jak i zawodowych nie trzeba było do szkolenia zapędzać. W pododdziałach panowała rywalizacja, poza tym ludzie mieli świadomość, że w nadchodzącym sezonie poligonowym wysilona praca z pewnością zaprocentuje.

W minikącikach sportowych, gdzie stały nieodłączne funty (17,5-kilogramowe odważniki), sztangi wykonane z wiader zalanych betonem oraz wisiały drążki do podciągania, również wrzało. Nie dopuszczano w żadnym wypadku, aby do pododdziałów wkradły się marazm i lenistwo. Organizowano najprzeróżniejsze zajęcia i zawody, łącznie z rywalizacją sztafet w czołganiu po kamiennych korytarzach.

Należy dodać, że panowały wówczas spartańskie warunki i utrzymanie higieny po nieustających treningach nie było łatwe. Ciepła woda bywała tylko w soboty na okoliczność regulaminowej kąpieli. Żołnierze służby zasadniczej na co dzień mogli korzystać jedynie z poniemieckich długich kamiennych koryt z kranami, które spokojnie można było zaliczyć do zabytków architektonicznych klasy zerowej.

Szkolenie wrzało w całej jednostce, jednak nie we wszystkich pododdziałach na identycznym poziomie. Powiedzmy sobie szczerze, młody oficer przychodzący wówczas do 1 Batalionu Szturmowego na ochotnika i dobrowolnie pakujący się do awangardowej drugiej kompanii, od sześciu lat dowodzonej przez kapitana Zbigniewa Pągowskiego, wszędzie poza Dziwnowem uważany byłby za szaleńca. Kapitan młodą kadrę wychowywał własnym przykładem, a wymagał od siebie nadzwyczaj dużo.

Kups już na wstępie zadbał o to, by znaleźć się we właściwym miejscu: „Szybko dowiedziałem się, że na płetwach jest »sztuka«, a na drugiej kompanii najbardziej prze-rypane i najmocniejsza paka, więc utajniłem posiadanie patentu płetwonurka i w ten sposób trafiłem do Pąga. Wkrótce doszedł do nas Leszek Ligowski, późniejszy szef szkolenia w Lublińcu, oraz Jasiu Orłowski. Był także Wiesław Słoniewski, wtedy już stary porucznik, specjalista od sprawdzania konspektów, który na kolejnym etapie kariery został szefem szkolenia w GROM-ie. W drugiej kompanii byłem wówczas jedynym kotem²⁰.

A co to znaczyło? Powiedzmy szczerze – cała papierowa robota, łącznie z pisaniem konspektów, spadała na mnie. Zapieprz okrutny, nie było kiedy się nudzić. Wszystkie ćwiczenia, wszystkie szkolenia generowały tony »kwitów« do obróbki. W przedkomputerowych czasach dokumentację, w tym konspekty i karty pracy, pisaliśmy przecież ręcznie. Zabierało to ogromnie dużo czasu i szczerze mówiąc, bardziej siadało na psychę niż mordercze treningi.

²⁰ Kot – określenie z zasady stosowane jedynie wobec najmłodszych żołnierzy służby zasadniczej, ale żartobliwie przenoszone również na kadrę zawodową.

Młody oficer ponadto nieustannie pełnił służby. Prowadziłem pewnego dnia zajęcia z żołnierzami na świeżym powietrzu. Zbliżała się godzina 14.30, a tu przybiega zdyszany łącznik: »Obywatelu poruczniku, proszę natychmiast zameldować się na instruktą przed służbą«. »Jaką służbą?«. »Obywatel porucznik przyjmuje dziś oficera dyżurnego jednostki«. I tyle! Byłeś młody, więc zaliczałeś służby jedna po drugiej i nie było kogo pytać o sprawiedliwość. Przy tym, co ciekawe, nikt z nas nie tracił fantazji i humoru. Bardzo szybko doszliśmy do przekonania, że po prostu nie może być inaczej”.

Podobnie jak większość młodej kadry, przeważnie kawalerów prowadzących dość wesoły tryb życia, podporucznik Kups w pierwszych miesiącach służby zamieszkał w przekształconym na internat starym ośrodku wczasowym Bałtyk, znajdującym po drugiej stronie rzeki Dziwny. W kompanii pracowało się od 5.45 do 22.00, a do hotelu było ponad trzy kilometry. Młodzi dowódcy, nie mając po pracowitym dniu ani sił, ani ochoty na takie spacerki, często spali w swoich kancelariach, nieustanną obecnością doprowadzając podwładnych do rozpaczki. Ciągły nadzór i dodatkowe szkolenie o najbardziej nieprawdopodobnych porach dnia i nocy były zmorą żołnierzy. Pągowskiemu widać taki układ odpowiadał i prawdopodobnie maczał palce w rozdziale miejsc noclegowych, bo przecież na terenie kompleksu koszarowego były wolne pokoje. Dopiero zimą mieszkańcy Bałtyku chodzili do domu, bo na skrót, przez rzekę skutą lodem, było to zaledwie pięć minut marszu.

Znaczną część żołnierzy służby zasadniczej stanowili gotowi na wszystko ochotnicy, różnymi kanałami dowiadujący się o dziwnowskim piekle. O losie pozostałych decydował przeważnie przypadek, a także doskonałe zdrowie i uprawiane sporty, ze spadochroniarstwem w szczególności. Aby uniknąć zbędnego zamieszania, jednych i drugich należało najpierw wspólnie sprowadzić do parteru, wyeliminować błędy popełnione na różnych etapach cywilnego procesu wychowawczego, a następnie, rozpoczynając od podstaw, wyrzeźbić z nich komandosów. Wychowawcy tworzyli zgrany zespół, a Pągo trzymał wszystko twardą ręką, co nie przeszkadzało mu pozostać z większością kadry w zażyłych stosunkach.

Los młodych oficerów niespecjalnie różnił się od żołnierskiego. Również rozpoczęli służbę od najniższego poziomu, przez rok dowodząc grupami specjalnymi. Było to zdrowe podejście, pozwalające gruntownie i na własnej skórze poznać specyfikę żołnierki. Wynikały z tego często dość zabawne historie, szczególnie w wypadku niespecjalnie lubianych absolwentów kierunku politycznego. Bywało, że politrucy a to dziwnie błąkali się po lasach na czele swych żołnierzy, nie mogąc namierzyć punktu kontaktowego, a to spod otwierającej się podczas skoku czaszy sypał się im na głowę tuman mąki... W tym środowisku poczucie humoru przybierało czasem dość zaskakujące formy.

Grupami specjalnymi dowodzili przeważnie chorążowie, stanowiący fundament formacji. Byli wśród nich: Krzysztof Wójcik, Mieczysław Hapoński, Krzysztof Przepiórka, Zbigniew Witaszek, Jurek Rocznik, Marek Królikowski, Zbyszek Małolepszy czy Jan

Obarzanek – znakomici komandosi i starzy wyjadacze, potrafiący z wdziękiem zepchnąć na młodych oficerów najczarniejszą robotę. Oficerowie zaś... Arek Kups mówi dziś ze śmiechem o swoim okresie terminatorским: „Leszek Reluga miał tam tatusia, więc dość szybko wyrwał na jakieś kursy metodyczne, a mnie zostawiono szkolenie ponad pół setki szwejó²¹. Jak już wspomniałem, byłem jedynym młodym oficerem w kompanii. Miałem dowódcę, który cierpiał, jeśli nie działaliśmy pod ciśnieniem, i paru starszych kolegów, którzy wypracowali już sobie metody na to, by nie wrywać sobie rąk przy robocie. Waliłem więc służbę za siebie, za nich, za Pąga... Takie były czasy. A nocą pisałem konspekt na cały następny dzień, bo dowódca wymagał kultury sztabowej – ołówek, przecinek, kropka. Dziś, nawet jeśli patrzę na to inaczej, to muszę stwierdzić, że podobało mi się wówczas w Dziwnowie. Żyłem jego legendą i nauczyłem się ciężko pracować”.

Major Kups zapytany o wzorce szkoleniowe zapewnia, że wówczas nie było mowy o braniu przykładu z tak renomowanych formacji, jak brytyjski SAS, amerykańscy rangers czy radziecki Specnaz. Dziwnów miał własną metodykę szkolenia, wspieraną przez znakomite warunki terenowe. Diabelskie dzieło – bo nikt nie posądziłby o to Boga – stanowiły wspomniane już „pola ryżowe”, położone w południowej części wyspy. Podmokłe trzcinowiska, wyższe sporo ponad wzrost chłopca, do tego liczne bajorka i grzędzawiska, w których można było utknąć po pachy, stanowiły ulubione miejsce zajęć, przynajmniej dla dowódców. Nieopodal koszar znajdował się „pentagon” – obiekt po tysiącokrotnie broniony, zdobywany, palony i wysadzany w powietrze. Rankiem plutony wyruszały tam ze śpiewem, a wkrótce wiatr przynosił znaną trzcin odgłosy wyszczekiwanymi przez kaprali komend i ryku dziesiątek gardeł wojowników.

Różne pomysły się tam rodziły. Jeden z oficerów, by nie upaprać się w błocie, zajeżdżał na „pola ryżowe” rydwanem bojowym – czterech najsilniejszych żołnierzy niosło go przez mokradło w lektyce sporządzonej z drzwi od kancelarii. Gdy któryś osłabł, padała na przykład komenda: „Kapral, wymienić tylne lewe koło!”. W tej grze, wbrew pozorom, nie było sadyzmu, chociaż siły polityczne już wówczas niejednokrotnie usiłowały humanizować szkolenie. Bliżej południa głosy słabły, a tuż przed obiadem w stronę koszar zaczynały ściągać ubłocone widma. Jedna z tutejszych zasad mówiła jednak, że jeśli pluton wracający z taktyki nie niesie żołnierza w pałatce, to zmarnował dzień szkolenia. Zawracany spod bramy pododdział ćwiczył do tej pory, aż najsłabsi dojechali do krańca swych możliwości. Wieczorem ci, którzy mieli jeszcze na to siłę, jedli obiad razem z kolacją. Całodzienna harówka nie miała najmniejszego wpływu na harmonogram nocnych działań doskonalących.

Podporucznik Kups był w swoim żywiole. Stosując metodę „Za mną!”, a nie „Naprzód!”, potrafił wycisnąć z młodych żołnierzy więcej niż inni. Zarazem imponował chłopakom niezmierną kondycją, wyciskaniem 150-kilogramowej sztangi w leżeniu czy

²¹ Szweje – popularne i dość pogardliwe określenie żołnierzy służby zasadniczej, wywodzące się od Haszkowskiego wojaka Szwajkara.

rzucaniem granatem na odległość blisko stu metrów. Znakomicie też strzelał i nigdy nie tracił specyficznego poczucia humoru.

Szeregowy żołnierz w jednostce nie miał lekko, nie miał też zupełnie nic do powiedzenia. Mimo to za żadne skarby nie chciał odchodzić dokądkolwiek, gdyż alternatywą były plutony gospodarczo-remontowe. Dla młodego człowieka, który przeszedł piekło unitarki i zainwestował ogromny wysiłek w szkolenie, byłaby to degradacja.

* * *

W kompanii, co dziś może się wydać nieprawdopodobne, do wypadków nadzwyczajnych należało obdarowywanie któregoś z młodych dowódców przepustką. Takie wspomnienia pozostają w pamięci na lata: „Po kilku miesiącach służby, w piątkowe popołudnie, szef zakomunikował, że prawdopodobnie będę miał wolną sobotę. W pierwszej chwili pomyślałem, że stary zwariował. Cierpliwie doczekałem południowego apelu i rzeczywiście dowódca ogłosił wszem i wobec: »Podporucznik Kups będzie miał jutro wolną sobotę! Od rana do czternastej. O czternastej przyjdzie do pracy, a po południu wolną sobotę będzie miał...« i tu padało nazwisko kolejnego szczęśliwca”.

Wreszcie, gdzieś na początku grudnia, wydarzyło się coś, co spowodowało u Arka niemal zawrót głowy: pojechał na swój pierwszy urlop rozłąkowy, odwiedzić żonę i półroczną córeczkę. Radość nieopisana, ale trzy dni minęły niczym chwila i trzeba było wracać. Przeładowanym autobusem nie zabrał się z Gdyni, przyjechał więc następnym, niestety – spóźniony o godzinę. Pągo pokazał klasę i podczas apelu poinformował przełożonych, że dał podporucznikowi Kupsowi jeszcze dodatkowe pół dnia, a potem przyrąbał mu cichą dychę zomzu, czyli zakazu opuszczania miejsca zakwaterowania, w tym wypadku rejonu pododdziału, bez wpisywania do akt. Panowała święta zasada niewywłóczenia niczego na zewnątrz. Rzucanie problemów na żer politycznym i obciążanie konta pododdziału uważano za zdradę.

Dziesięć dni i nocy spędzonych w kompanii stanowiło znacznie większą dolegliwość dla żołnierzy niż dla ukaranego oficera. Już pierwszego wieczora, by mieć dobry wgląd w sytuację, podporucznik Kups wystawił swój wóz, jak w gwarze żołnierskiej nazywano łóżko, na korytarz. Nie marnował czasu. Od obiadu do późnej nocy trwały zawody w wyciskaniu ciężarka, przysiadach ze sztangą, pompkach i brzuskach oraz bardziej złożonych testach wydolnościowych. Rywalizował z żołnierzami w kolejnych konkurencjach, bawiąc się przy tym znakomicie.

Kolejnego wieczora dowódca kompanii postanowił skontrolować odbywanie kary przez Arka. Dochodząc do koszarowca, ujrzał dwóch zwiadowców sikających z parapetu drugiego piętra. „Kups!”. Pągo wpadł na pododdział w chwili, gdy żołnierze pierwszego plutonu wraz z podporucznikiem kończyli tłoczyć dwieście tradycyjnych wieczornych pompek.

Dwaj „strażacy” wzięci na spytki najpierw szli w zaparte, jednak zagrożeni przeniesieniem na inną kompanię wyznali z całą szczerością: „Bo jak porucznik Ciężarek urzą-

dza różne zawody, mistrzostwa i olimpiady, to nam potem na zajęciach teoretycznych ołówki z rąk wypadają. Woleliśmy więc nie wychodzić na korytarz”. Kapitan w uznaniu za wzorowe odbywanie kary anulował Kupsowi pozostały areszt koszarowy.

* * *

Życie dziwnowskich komandosów nie sprowadzało się jedynie do szkolenia. Późną jesienią, gdy po sezonie turystycznym Dziwnów przypominał już wymarłe miasteczko, centralnym punktem życia pozasłużbowego stawał się ośrodek Bałtyk. Na dole było kino, jakiś mały klubik, a na górze mieszkało sześćdziesięciu młodych żołnierzy zawodowych. Totalna ogiernia!

Skupienie na niewielkim obszarze znacznej liczby ludzi młodych i z temperamentem wyzwalające niekontrolowane zachowania stadne. Nagromadzony testosteron musiał znaleźć ujście, więc internatowe ekscesy przechodziły wszelkie wyobrażenie.

W garnizonie toczyła się też nieustanna walka o dominację i panowanie nad terytorium między wspomnianymi już wcześniej końmi, szoszonami i komandosami. Oficjalnie na szczycie piramidy znajdował się 10 Pułk Rozpoznania Systemów Radiolokacyjnych, a znacznie niżej 1 Batalion Szturmowy i 8 Kołobrzeski Batalion Saperów Marynarki Wojennej. W nieoficjalnym rankingu właśnie saperzy uważali się za elitę, bo – wiadomo – Marynarka Wojenna. Nie było to szczęśliwe sąsiedztwo, jako że zadziorni komandosi, zarówno żołnierze służby zasadniczej, jak i młoda kadra zawodowa, przez kolejne pokolenia usiłowali odwrócić narzuconą oficjalnie hierarchię. W nieoficjalnych rozgrywkach dominowali komandosi, potem konie, czyli marynarze, a na samym końcu znajdowali się pułkowi szoszoni, którzy przy każdej sposobności byli oklepywani.

„Pewnego razu porucznik Rysio – opowiada Kups – będąc na niezłej bani, wpadł na pomysł przypalenia szoszona. W internatowej toalecie kibelki miały ażurowe ścianki – jak się siedziało, to nogi było widać do kolan. Dywersant ruszył do akcji wyposażony w wielki pojemnik lakieru do włosów i zapalniczkę. Zestawem tym można było się posłużyć niczym bojowym miotaczem ognia. Idea była taka, by przypalić gazetę, którą szoszon czytał, siedząc na sedesie. Zaatakowany miał niestety niezły refleks i w chwili uderzenia ognia podciągnął pisemko do góry”.

* * *

Portierki internatu Bałtyk wykazywały daleko idącą tolerancję wobec tego, co się wokół działo. Pewnego razu na przykład w trakcie mocno zakrapianej imprezy, gdzieś pośrodku nocy, przed okienkiem pojawił się nagi podporucznik z kokardą na fiutku. Towarzyszący mu koledzy, wybudziwszy ze snu blisko sześćdziesięcioletnią portierkę stanu wolnego, zaczęli składać miłej pani życzenia, usiłując przekazać kolegę w prezenzie. Ta zaś, wbrew oczekiwaniom, nie zemdląła, nie wpadła też w histerię, lecz rutynowo uruchomiła połączenie alarmowe z oficerem dyżurnym placówki Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Na półwyspie dziwnowskim służba w tej formacji była nie mniej ekstremalna niż w batalionie szturmowym. Średnio raz na dwa tygodnie poziom testosteronu w ośrodku Bałtyk przekraczał stan alarmowy, co w połączeniu z alkoholem powodowało eksplozję o sile kilku ton trotylu. Po internacie latały wówczas części szaf i łóżek, nierzadko lała się krew. Interwencje patroli WSW w takich sytuacjach należały do działań podwyższonego ryzyka, tym bardziej że wrogie sobie plemiona stawały wówczas ramię w ramię przeciwko stróżom prawa i porządku.

Arek wspomina, jak zdziczałe obyczaje odciskały czasem swoje piętno również na życiu osobistym: „W pierwszą Wigilię, jeszcze zanim dostałem w Dziwnowie mieszkanie rodzinne, zupełnie bez zapowiedzi odwiedziła mnie żona. Telefonowałem wcześniej, że mam służbę i nie dotrę do Pucka. Zostawiła zatem córkę u rodziców, wsiadła w autobus i przyjechała. Pierwsza gwiazdka na niebie, a tu żołnierz alarmuje z internatu: »Obywatelu poruczniku, żona przyjechała«.

Wróciłem po służbie, spędziliśmy miły wieczór we dwoje. Następnego dnia o szóstej rano obudziło nas walenie do drzwi, których nieopatrznie nie zamknąłem na klucz. Wpadł porucznik Rysio cały we krwi i już od progu rzucił tekst: »Cześć młody. Widzę, że dupeczkę wyhaczyłeś«. Próbowałem wybrnąć z mocno niezręcznej sytuacji. Tłumaczyłem, że to nie żadna dupeczka, tylko moja własna żona. A Rysio na to luzacko: »Nieważne, żona czy nie żona. U nas to jest tak, że się panienki jeden drugiemu przekazuje. Ale mniejsza z tym. Coś ci powiem. Wczoraj na Wigilii Królik strasznie mnie wkurwił. Zajebał mi opłatek! Wyjebałem mu za to w ryj, no i, kurwa, po świętach. Dobra, to lecę«.

Na wychodne złapał jeszcze stojącą na stole butelkę z resztką ciociosanu, zamieszał, opróżnił do dna i wypadł z hukiem. Moja żona po długim milczeniu otrząsnęła się z szoku i powiedziała: »Arku, nie możesz tu pracować«.

Cóż, w liczącym niespełna tysiąc mieszkańców Dziwnowie po sezonie, po godzinie siedemnastej, na którejkolwiek z pięciu uliczek miasteczka można było spotkać jedynie bezpańskie psy. Młodych i wolnych kobiet nie było ani w garnizonie, ani w jego okolicy. Najbliższe nieprzetrzebione stada wypasały się w Kamieniu Pomorskim, dokąd trzeba było dojechać taryfą albo udać się na nogach. Podobnie jak po piwo do Dziwnówka. Yeti, przykładowo, znany był z tego, że dobiegał tam w dobrym czasie, wypijał na szybko cztery kufle, ale już nie był w stanie wrócić o własnych siłach”.

* * *

Pisząc o wszystkim, zdaniem majora Kupsa, nie można pominąć stosunku komandosów do ideologii. Otóż wszyscy oficerowie dziwnowskiego batalionu należeli do partii, co stanowiło oczywisty koszt służby w elitarniej jednostce. Trudno sobie wyobrazić, by pozwolono na to, żeby w takim miejscu przebywał element niepewny, komandos, który po przerzuceniu na terytorium wroga poprosi o azyl polityczny. W rzeczywistości, tak szczerze, ideologię i politykę większość komandosów miała mniej więcej tam, gdzie i obecnie: „Byli wśród nas wierzący, byli ateści, jeszcze inni o swo-

ich poglądach nie mówili w ogóle nic i nie było w środowisku zwyczaju dokonywania w tej dziedzinie odkryć.

Oczywiście mieliśmy świadomość działania »agentury« w szeregach, bo co rusz wybuchała jakaś afera o podłożu ideowym. Zdarzyło się kiedyś, że jeden z kapitanów z własnej woli chciał odejść do cywila. Starał się na wszystkie sposoby, ale go nie puszczali. Widać, taki był cenny. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności był również bardzo religijny. Nie dość, że podczas Bożego Ciała uczestniczył w dziwnowskiej procesji, to jeszcze szedł na jej czele z krzyżem. Po tym już się do służby w elitarniej jednostce nie nadawał i chcieli go natychmiast wywalić, oczywiście dyscyplinarnie. Szczęściem, na szczeblach decyzyjnych, w efekcie przebiegu rozsądku, postanowiono pójść z oficerem na ugodę i zwolniono »klerykała« ze względu na »stan zdrowia«. Takie były czasy...

Nie znaczy to wcale, że rządzą nami oficerowie polityczni. W normalnych jednostkach politrucy byli przeważnie postrachem, u nas jednak nie mieli jakoś specjalnie warunków do rozwoju, nie wchodzili w role krwawych komisarzy. Pamiętam, jak pewnego razu polityczny zajrzał do kompanii, a tu młode wojsko z niezbędnikami i kubkami czołga się po schodach z góry na dół. »Co się tu dzieje?«, zakrzyknął, na co padła odpowiedź: »Nic szczególnego. Żołnierze działaniami przemieszczają się na posiłek«.

* * *

Trudno wręcz sobie wyobrazić, by komandosi, pełniący ciężką, wymagającą odwagi, a czasem wręcz rzykanctwa służbę, mieli truchleć przed swoimi politrukami. Były większe strachy, jak chociażby skoki spadochronowe, opiewane w żołnierskich pieśniach jako podniebna przygoda, a często będące przyczyną eliminacji ludzi ze służby. Spadochroniarstwo desantowe ze swej natury jest dość ryzykowne. Jeśli dodać do tego trudne warunki pogodowe czy zbyt lekkie traktowanie tematu, zaczynały się kłopoty, często bardzo poważne.

W Dziwnowie wykonywano skoki na zrzutowisko Śniatowo, usytuowane nieopodal niewielkiej jeziora o tej samej nazwie i w pobliżu jednostki radzieckiej. Przekleństwem tego miejsca był rozcinający trawiastą przestrzeń betonowy pas startowy. O tym jeziorze i o tym pasie opowiadano straszne rzeczy. Między innymi o wodowaniu majora Romana Żołnowskiego, który w marcu 1976 roku zaliczył kąpiel, gdy wiatr niespodziewanie zniósł go nad akwen. Sam wiele lat później tak relacjonował niebezpieczne zdarzenie dziennikarzowi: „Nie martwiłem się o to, czy przeżyję. Nie chciałem odciąć czaszy, bo by zatoneła. Martwiłem się o nią i o broń, a nie o życie, bo tak byliśmy wyszkoleni. Na szczęście z samolotu dostrzegli, co się stało i wysłali ekipę na ratunek. Nie mieli jednak jak do mnie dotrzeć. Znaleźli łódkę, ale zatoneła. Rzucili w moim kierunku drewniane drzwi, ale też poszły na dno. Było coraz gorzej, bo temperatura była prawie minusowa. W końcu porucznik Czechowski obwiązał się liną i podpłynął do mnie. Wyciągnęli mnie po 34 minutach. Byłem granatowy. Wlali we mnie wodę, dali zastrzyk i jakoś z tego wylazłem”.

Kupsowi z kolei udało się przetestować na Śniatowie pas startowy: „Którejś niedzieli, mimo że części kadry zawodowej nie było w jednostce, Szorti (kapitan Leszek Ligocki, późniejszy szef szkolenia 1 Pułku Komandosów w Lublińcu) niespodziewanie ogłosił skoki. Szybko się zapakowaliśmy, jazda na lotnisko, tam do samolotu i w górę. No i poniosło mnie na tę cholerną betonkę. Do końca życia nie zapomnę bólu po tym, jak się podbiłem. Już pod wieczór nogi do kostek miałem w kolorze jagód. Nazajutrz, w poniedziałek, wprowadzie w trampkach, ale stawiłem się gotowy do prowadzenia szkolenia. Podczas zajęć na strzelnicy po każdej serii żołnierz brał mnie na barana, biegliśmy do tarcz, sprawdzałem wyniki i jechałem z powrotem. Nie mogłem chodzić, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Cały tydzień jechałem na środkach przeciwbólowych. Twardość tego pasa przeszła do historii, a mój przypadek nie był odosobniony.

Mimo wielkiej fascynacji, z dzisiejszego punktu widzenia, to wszystko, co się tam działo, było czasami wręcz nieludzkie. Zbyt łatwo też przekraczano granice bezpieczeństwa. Pewnego razu podczas przyziemiania połamali się dwaj porucznicy, Guglas i Obrębski. Zebrano ich ze zrzutowiska, ułożono na trawie, gdzie, skręcając się z bólu, czekali dwie godziny, aż skoki się skończą. Dlaczego sanitarka od razu nie zawiozła ich na sygnale do szpitala? Bo była jedna, więc gdyby opuściła zrzutowisko, kierownik skoków musiałby przerwać zajęcia. A to przecież koszt i zmarnowany czas nalotu, którego nie dałoby się później nadrobić. Chłopaki pocierpiąły zatem trochę, lecz nikt się tym nie przejął”.

* * *

Na krótko przed opuszczeniem przez Arkadiusza Kupsa Dziwnowa doszło do tragicznego wydarzenia. Major nie chce dziś pomijać wywlekaną co rusz przez kogoś życzliwego historii, która zaciążyła na całym jego życiu. 5 maja 1985 roku podczas skoku spadochronowego z samolotu An-2 grupę podporucznika Kupsa wyniosło w rejon Jeziora Głębokiego²². Dwaj żołnierze, piąty i szósty w kolejności, wylądowali w wodzie, dowódcę zaś rzuciło w brzoźki na mokradle...

„Wypadek, w którym zginęli moi żołnierze, nie wydarzył się tak ni z gruszki, ni z pietruszki. W poprzednim wylocie porucznika Lecha Króla z 1 kompanii wyniosło ze dwa kilometry poza zrzutowisko, aż za garaże za poligonowym osiedlem Głębokie. Po nieudanym desantowaniu samolot poleciał zatankować do Mirostawca. Czas płynął, a wiatr się zmieniał... Wreszcie przyszła kolej na moją grupę. Po otwarciu czaszy, ku ogromnemu zaskoczeniu, znalazłem się nad zatoką jeziora i żadnymi ślizgami spadochronu nie mogłem poprawić sytuacji. Leciałem jak w studnię. Szczęściem, czasza oplotła się wokół gałęzi drzewa nad samym brzegiem, więc udało mi się dość sprawnie z tej bagnistej brei wyciągnąć po linkach. Okrążając jezioro, popędziłem w stronę, gdzie wyniosło chłopaków.

²² Jezioro Głębokie, podobnie jak niewielkie osiedle i zaplecze hotelowe o tej samej nazwie, położone na południowo-zachodnim skraju CSWL Drawsko. W okresie stanu wojennego miejsce internowania wierchuszki PZPR.

Nie znałem wówczas terenu, minęło więc pół godziny, nim obiegłem jezioro dookoła. Napotkanego żołnierza zapytałem, co się stało z ludźmi, którzy wpadli do wody. Powiedział mi, że obaj się utopili. Myślałem, że go rozszarpie, po chwili jednak dotarło do mnie, że to mogło się wydarzyć. Gdy podszedłem bliżej, jeden z nich leżał już na brzegu. Drugiego wyciągnęli dopiero później”.

Szeregowy Sławomir Kowalski z miejscowości Piaski koło Sierpca i kapral Krzysztof Nogowski ze Starogardu Gdańskiego nie żyli. Arek wciąż pamięta godziny spędzone przy wyciągniętych na brzeg zwłokach. Niemoc i absurdalność sytuacji były porażające. Kups powtarza, pewnie po raz setny w życiu: „Znajdowałem się w identycznej sytuacji jak tamci dwaj. Nie miałem wpływu na lot samolotu ani na moment wyrzucenia żołnierzy. Każdy, kto ma odrobinę pojęcia o skokach desantowych i zna procedury, doskonale o tym wie. A jednak, niezależnie od wszystkiego, byłem ich dowódcą. Siedziałem przy ciałach do wieczora, czekając na obdukcję lekarską i transport. Po jakimś czasie pokazał się roztrzęsiony oficer z Pomorskiego Okręgu Wojskowego²³ i pierwsze, czym się zajął, to dochodzeniem, czy przypadkiem broń ofiar nie zatonała w jeziorze. Wieczorem przyjechał samochód, ułożyli ciała na pace.

Popełniono wówczas liczne błędy proceduralne, których dziś nie chciałbym wspominać. Na wodzie nie było nic, żadnej asekuracji, żadnego sprzętu ratowniczego, nikomu bowiem do głowy nie przyszło, że nad używanym od wielu lat zrzutowiskiem między Głębokiem a Jaworzem może kogoś wynieść. W oficjalnej wersji nie znaleziono winnych, odpowiedzialnością za śmierć żołnierzy obarczono »wiatr korpulencyjny« czy coś równie bzdurnego. I już na zawsze przeniesiono skoki na Święciechów, rozległe pegeerowskie pola po drugiej stronie szosy szczecińskiej.

Wkrótce zaczęły też wychodzić kolejne perełki: że znaleziono przy chłopakach noże spadochronowe, ale z innymi numerami niż te w dokumentacji, że nie były naostrzone. Ponadto nie zostali przeszkoleni do skoków na wodę... Wszystko waliło się na łeb na szyję, bo każdy ratował własną dupę i chciał jak najszybciej »wyprostować« papiery.

I w tym bałaganie dostałem zadanie powiadomienia rodzin żołnierzy o tragedii. Do dziś się zastanawiam, dlaczego nie pojechał tam sekretarz partii, oficer polityczny, dowódca kompanii czy może ktoś ze sztabu, tylko młody podporucznik? Ponadto nikt słowa nie powiedział, jak to ma wyglądać.

Gdy wszystko się skończyło, żołnierze z naszej kompanii mieli straszną traumę. Kilku się załamało, nie chcieli skakać. Stracili zaufanie do ludzi, którzy nimi dowodzili, więc resztę służby pełnili w kuchni czy gdzieś przy liczeniu gaci”.

Podporucznik Arkadiusz Kups pojechał powiadomić o nieszczęściu rodziny żołnierzy. Pierwotnie chciano go wysłać pociągiem, ale na szczęście szef sztabu się zreflektował i dał nysę. Pośrodku nocy obudzili kobietę w małej chatce. Na widok mundurów zapytała, czy Sławuś przyjechał na urlop razem z nimi: „Musiałem powiedzieć,

²³ Pomorski Okręg Wojskowy. Terytorium kraju było wówczas podzielone na trzy okręgi wojskowe – warszawski, śląski i pomorski. POW, z dowództwem w Bydgoszczy, obejmował północno-zachodnią część Polski.

że niestety nie. Na dodatek nie mogłem puścić pary, jak zginął. Kazano mi też podsunąć matce do podpisania kwit, z którego wynikało, że to ona poniesie koszty pogrzebu, a wojsko dopiero po wszystkich zwróci jej pieniądze”.

Następnego dnia przybyli do domu drugiego z utopionych chłopaków, w Starogardzie Gdańskim. Jego ojciec wybudował i urządził warsztat samochodowy. Syn miał go przejąć po powrocie z wojska. Arek pamięta, że była to przyzwoita firma, zapowiadająca możliwość zrobienia niezłej kasy: „Mąż siostry chłopaka, chorąży z Bolesławca, wymyślił, żeby szwagier na dwa lata został komandosem. »Przeżyje wielką przygodę i będzie miał wspomnienia na całe życie, gdy już się zacznie paprać w smarach«”.

Po wszystkich Kups pojechał do Dziwnowa, do domu. Do Danusi, jego żony, wcześniej dotarło, że utopił się jeden z młodych żołnierzy. Nie powiedziano, czy szeregowy, czy oficer, a Arek przecież też należał do młodych. Co sobie pomyślała? Dopiero po jego przyjeździe dowiedziała się szczegółów, bo przecież formalnie nałożono blokadę na informacje. I już pierwszego ranka po powrocie do drzwi mieszkania państwa Kupsów zapukał Leszek Reluga z powiadomieniem, że za godzinę Arek ma jechać na poligon.

Gdy się tam stawił, chciano go wysłać na oba pogrzeby. Odmówił: „Wkurzyłem się wtedy strasznie, bo tym ludziom należał się jakiś szacunek. Przełożeni chcieli tylko wyjść na czysto z kłopotu, zadowoleni, że wszystko zrzucą na najmłodszego oficera”.

Odmowa wykonania polecenia nie mieściła się tam wówczas nikomu w głowie. Po kolejnych naciskach powiedział dowódcy jednostki: „»Gdybym to ja zginął, co było bardzo blisko, to obywatel major wysłałby do mojej żony, a potem na pogrzeb, kaprała z wiankiem?«. Stary się wściekł. Napisali mi w opinii, że jestem nie zrównoważony psychicznie i mogę zawieść w sytuacji stresowej. Nigdy nie czułem się tak normalnie jak wówczas, gdy wypaliłem mu to w oczy”.

* * *

Wkrótce po tym tragicznym desantowaniu odbyły się zawody grup specjalnych w rejonie Gór Świętokrzyskich. Zrzućeni ze spadochronami komandosi prowadzili działania w okolicy Wykusu – wzniesienia Płaskowyżu Suchedniowskiego, nieopodal Starachowic, gdzie w czasie wojny mieli kryjówkę partyzanci porucznika Jana Piwnika „Ponurego”. Podporucznik Kups, jak zwykle podczas ćwiczeń, odniósł sukces i odzyskał wysokie notowania w jednostce. Był sprawny, znakomicie wyszkolony i poza odmową wyjazdu na pogrzeb żołnierzy zawsze dyspozycyjny, lubił też eksperymentować na sobie. W sumie, poza kilkoma nieszczęśliwymi zdarzeniami, służbę w batalionie szturmowym wspomina jako znakomite doświadczenie zawodowe i wspinał się, dającą ogromną satysfakcję przygodę:

„Jeszcze tego samego roku przerzucono śmigłowcami z Dziwnowa w Góry Świętokrzyskie chyba z dziesięć grup specjalnych. Z dala od cywilizacji, dowolnym sposobem mieliśmy przedostać się do Starachowic. Nie było to wcale łatwe, gdyż przeciwnik dość dokładnie obstawił całą okolicę. Byłem tam wówczas z porucznikiem

Jasiem Orłowskim. Nie znaleźliśmy terenu, ale z mapy wyszła nam możliwość wykorzystania drogi wodnej. Pod wieczór połączyliśmy maleńkie pontoniki PZW w prowizoryczną i rachityczną tratwę, po czym ruszyliśmy meandrami Kamiennej. Chcieliśmy za wszelką cenę zdążyć do celu przed świtem. Nocny spływ na czymś takim sam w sobie był niesamowitym przeżyciem. Po kilku godzinach byliśmy już kawałek za Wąchockiem, prawie w mieście. Dość bystra wcześniej rzeczka zwalniała tu, przechodząc powoli w zalew Pasternik. Wtem na brzegu dostrzegliśmy kłusowników. Goście mieli długą tyczkę i wykorzystując kabel przerzucony przez przewody średniego napięcia, tłukli ryby prądem! Uświadomiłem sobie, że jak zanurzą elektrody w wodzie, to nas po prostu ugotują. Nagle słyszymy, jak jeden z nich, patrząc w naszym kierunku, rzuca żartem: »O, jakaś kłoda płynie. Może to rekin...«. Nie było na co czekać, wywaliłem ze ślepaków. Usłyszeliśmy krzyk przerażenia, a w chwilę później warkot odjeżdżającego samochodu. Udało nam się szczęśliwie ująć z życiem, ale po tym zamieszaniu musieliśmy się z rzeki zawijać. Bez większych przygód dotarliśmy do fabryki produkującej nasze ciężarówki Star, tam zaś dokonaliśmy dywersji, naklejając kartki: »Obiekt zniszczony«. Takich historii było wiele”.

* * *

W 1985 roku nad Dziwnów nadciągnęły czarne chmury – postanowiono przenieść batalion do Lublińca. Decyzja przełożonych była dla żołnierzy, szczególnie zawodowych, wyjątkowo niemiłym zaskoczeniem. Wielu z nich zasiedziało się w garnizonie, znalazło w najbliższej okolicy żony, założyło rodziny, wrosło w środowisko. Cóż, zmieniła się sytuacja polityczna, a z nią również operacyjna, więc taki ruch był z pewnością konieczny. I – jak to zwykle w wojsku bywa – pamiętano o wszystkim oprócz... ludzi.

Rok przed przenosinami wysłano pod Częstochowę trzydziestoosobową grupę dowodzoną przez podporucznika Jana Rajcha, kolegę Arka jeszcze ze szkoły oficerskiej i współlokatora z osławionego Bałtyku. Dostał niewdzięczne zadanie przygotowania w Lublińcu bazy szkoleniowej i budynków mieszkalnych do zasiedlenia. Jako absolwent kierunku rozpoznawczego miał w tej dziedzinie szczególne kwalifikacje. W efekcie przeprowadzonego rozpoznania wyszło, że na grubo ponad setkę żołnierzy zawodowych czekały pękający w szwach internat i... dziewięć mieszkań. Budowa kolejnych miała ruszyć w perspektywie czterech lat. Możliwość urządzenia sobie w miarę normalnego rodzinnego życia była odległa o lata świetlne, klimat i warunki do pracy żadne, a nastawienie ludzi do przenosin – nieciekawe. Wprawdzie do nowej siedziby przeniosła się znaczna część żołnierzy zawodowych batalionu, ale gdzieś po roku zaczęli uciekać, a po trzech latach została ich zaledwie garstka.



Batalion szturmowy na ćwiczeniach na Jaworzu – grupa pozorująca Amerykanów. Na czele (z uniesioną ręką) chor. A. Wójcik z 1 kompanii szturmowej, obok (z karabinem M60) sierż. K. Michalski. 1985 rok.



Grupa kadry batalionu szturmowego odznaczana medalami. Pośrodku por. W. Brzozowski (późniejszy szef sztabu jednostki). Obok, z lewej, chor. R. Snopek. Dziwnów, lata 70.



Załadunek pływonurków bojowych 1 Batalionu Szturmowego do śmigłowca Mi-4. Widoczne skafandry typu suchego Foka oraz aparaty typu Mors. Jezioro Trzebuń. Jaworze, lata 70.



Zwiadowcy 2 kompanii szturmowej w czasie pokazu walki wręcz: z nunchaku – szer. Kamiński, z kijem – szer. Poskard, klęczcy (z prawej) szer. Kulas. Jaworze 1985 r.



Grupa specjalna 2 kompanii szturmowej ubrana w mundury maskujące, tzw. libijskie, w czasie działań dywersyjnych przeciwko jednostkom POW . Pośrodku ppor. A. Kups. Okolice Żołędowa (Poligon Drawski), 1985 r.



Przysięga młodego rocznika. Maszeruje 2 kompania szturmowa. Na jej czele dowódca kpt. J. Pagowski, z lewej ppor. A. Kups. Dziwnów 1984 r.



Zgrupowanie narciarskie jednostek specjalnych POW w Lasówce. Pośrodku dowódca 1 Batalionu Szturmowego mjr S. Osiecki. 1982 r.



Szkolenie narciarskie w Zieleńcu. Na pierwszym planie szer. R. Folszewski, późniejszy podoficer zawodowy 56 KS (widoczne narty z wiązaniami sprężynowymi i watawane śpiwory). Lata 70.



Ośrodek Szkolenia Armii Obcych na Jaworzu. Na makiecie haubicy M109 grupa kadry 1 Batalionu Szturmowego: porucznicy M. Budny, J. Kempara i W. Brzozowski oraz sierż. A. Nogaj, Jaworze, lata 70.



Na makiecie czołgu Leopard 1 grupa kadry 1 Batalionu Szturmowego, od lewej por. M. Budny, sierż. A. Nogaj, por. J. Kempara, por. W. Brzozowski, chor. T. Szpiec, por. R. Czerkawski, na dole kpt. T. Mietła (późniejszy szef służby spadochronowej jednostki), Jaworze, lata 70.



Na pokładzie An-26 instruktorzy pokładowi udzielają ostatnich uwag. Od prawej: mjr T. Mietła i sierż. M. Hermanowski. Początek lat 80.



Kadra jednostki miawała różne pomysły... W bramie jeden z najlepszych radiotelegrafistów tamtych czasów H. Włostowski. Lata 70.



Kadra instruktorów z 1 Batalionu Szturmowego szykuje się do skoków wysokich. Od lewej: chorążowie J. Rocznik, M. Ochnio (62 KS), M. Hapoński. 1984 r.



Uroczystość w 1 Batalionie Szturmowym. Od lewej: kpt. R. Żołnowski (późniejszy szef szkolenia 56 KS), por. J. Macyszyn, sierż. R. Grześków, chor. R. Snopek i por. R. Czogała (jedna z bardziej kolorowych postaci jednostki), Dziwnów, lata 70.



Dowódca 1 Batalionu Szturmowego płk Z. Pietkiewicz wyróżnia kadrę jednostki. Dziwnów, początek lat 80.



Skoki na Bałtyk ze spadochronem SDW. Były one bardzo ryzykowne za względu na złożone zabezpieczenie wodne. W czasie takiego desantowania w 1970 r. zginął dowódzący 1 Batalionem Szturmowym mjr Zbigniew Wanzeł.



Poczet sztandarowy 1 Batalionu Szturmowego na lotnisku w Śniatowie. Od lewej: por. L. Detlaf, por. K. Mężykowski, chor. M. Hapoński i sierż. J. Bączyński. 1983 r.



Przygotowanie do desantowania. Od lewej: sierżanci J. Tomczak i R. Grześków. Śniatowo, początek lat 80.



Załadunek skoczków do An-2 na lotnisku w Śniatowie. Skoki odbywały się także zimą. Jeżeli ziemia była zmarznięta, warunkiem desantowania stanowiła minimum 15-centymetrowa warstwa śniegu. Spadochroniarze w latach 70. używali do skoków tzw. szlemów, czapek podobnych do hełmofonów, z których zdejmowano część amortyzującą. Lata 70.



We wnętrzu samolotu An-26 przed desantowaniem. Pierwszy z prawej – najstarszy żołnierz 1 BSz chor. S Reluga. W wieku 50 lat realizował szkolenie ze spadochronami desantowymi. Z jego synem, Lechem Relugą, A. Kups kończył uczelnię wojskową i razem w 1984 r. rozpoczynali służbę w 2 kompanii szturmowej, Śniatowo, lata 80.



Pokaz walki wręcz w wykonaniu instruktora 1 BSz. Test łamania dachówek. Dziwnów, początek lat 80.



Do skoków szykuje się jeden z najlepszych pletwonurków 1 BSz chor. Z. Jeszka. Światowo, początek lat 80.



Widok z otwartego luku An-26 podczas desantowania grupy skoczków na spadochronach D5 z opóźnionym otwarciem na stabilizacji. Zdjęcie oddaje prędkość samolotu w momencie oddzielania się skoczków. Ze spadochronem stabilizującym prędkość opadania wynosiła około 30 m/s. Tradycyjne otwarcie spadochronu przy dużej prędkości maszyn radzieckich (w granicach 300 km/godz.) mogłoby spowodować jego rozerwanie, stąd technika desantowania z opóźnieniem otwarcia czaszy głównej poza głównymi strugami samolotu.



Sierż. H. Włostowski wraz synem na tle mostu zwodzonego w Dziwnowie. Później kontynuował służbę w 56 KS, zajmował się szybką telegrafią, Dziwnów, lata 70.